Nr. 44. We Lwowie, dnia 3 listopada 1901. Rok 10.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Wywłaszczona.

Obrazek z zamierzchającej teraźniejszości.

Adolfowi Dygasińskiemu, jako wyraz hołdu i przyjaźni.

— Mówię wam, matko, że wasz opór nie zda się na nic: musicie ustąpić z drogi — i basta!

— Nie ustąpię!... Nie ustąpię, żeby tam nie wiem co!... Tu drogi nigdy nie było i tu drogi nie będzie!... To mój sad, mój, — tędy leci tylko ścieżka i ja przez furtkę nie puszczę.

— Wiecie już przecie, że tędy właśnie kolej ma pójść.

— Nie pójdzie, nie pójdzie, bo ja od furtki nie odstąpię!...

— No! wstaniecie sami, czy nie?

— Nie wstanę.

— Cha, niema co!... Trzeba sprowadzić strażników.

— I pan-by śmiał na mnie starą strażników wołać...

— Skoro dobrowolnie ustąpić nie chcecie...

— I nie ustąpię... A co mi strażnicy zrobią?... — Będą bili? Niech biją, od tego są... Ale ja na swojem postawię!

— Słuchajcież, matko, jeszcze raz: tędy wypadła nam linja...

— A co *lenija* ma do mnie, albo co ja mam do *lenji?*... Przecież pan może ją puścić obocznie... I Kuba Gąsior z jednej strony nie urodził się na tym gruncie, i Marcin Gwara z drugiej strony przyszedł tu aż z trzeciej wsi, to oni mogą ustąpić z gruntu. Ale ja na tej ziemi się urodziłam i na tej ziemi się wychowałam — to mój grunt, to moja chałupa. Tu jeszcze moi rodzice mieszkali — starzy ludzie pamiętają... Każde dziecko Panu powie... A nie?.. to niech Pan zobaczy w tabeli: tam tak stoi, wiem zaiście, choć czytać nie umiem. Ale Pan czytać umie... a nie — to wójt Panu powie, albo ja od kómisarza przyniosę świadectwo, jako ten grunt jest zapisany osobliwie na moje imię i nazwisko, bo mój już nie żył, kiedy ziemię nadawali, jeno ja sama, biedna wdowa, siedziałam w tej chałupie z czworgiem sierot i przy gospodarstwie harowałam. Niech Pan idzie do kómisarza, niech!..

— Nie przeczę temu zgoła, ale do komisarza nie pójdę, bo nie mam po co... Linja jest zatwierdzona przez rząd, rozumiecie przez rząd: a żeście nam gruntu sprzedać nie chcieli dobrowolnie więc też rząd was wywłaszczył... Takie jest prawo.

— Gdzieby zaś rząd raz ziemię nadawał a drugi raz z niej wywłaszczał. Nie może być, jeno żydzi — kupce tak prawo na uciemiężenie narodu wykręcili...

— Mylicie się, matko... Zresztą krzywdy waszej tu nie widzę... Rząd przyznał wam tyle za kilkadziesiąt sążni, że inny — z pocałowaniem ręki i dziesięć morgów oddałby za te pieniądze.

— Alboż ja mówię że nie. Ale pieniędzy nie wezmę i ziemi nie oddam!.. W tej chałupie się urodziłam i w tej chałupie chcę umrzeć.

— Niby to nie wszystko jedno, gdzie kto umrze?

— I żyd-by inaczej nie powiedział!.. A takiemu co? Byle zarobił na cudzej krzywdzie, to i leci w świat! Sumienie mu na miejscu dosiedzieć nie pozwala, a i umiera ze strachem tam, gdzie go śmierć przyłapi. To za mękę Chrystusa... Ale ja mam czyste sumienie i prawo za sobą. Chałupy się nie wyzbędę, a jakby chcieli brać gwałtem, to oddam się w opiekę Panu Jezusowi Najsłodszemu i Pannie Świętej, Matce Boskiej Łaskawej — i będę miała moc!..

— Moc będziecie mieli, ale swoją drogą ziemię dacie, jak nie z dobrej woli, to inaczej — i tylko próżne wasze gadanie! A zresztą o co chodzi? Do chatki, jak widzę, jesteście bardzo przywiązani... Podoba mi się to, więc przez wzgląd na waszą tkliwość każę ją rozebrać tak ostrożnie, żeby ani jeden dyl się nie złamał... Potem za-

bierzecie sobie kawałek po kawałku i ustawicie na nowo... Odpowiadam za całość... Zgoda?

— Nie! I chałupy nie dam i sadu nie dam, bo to moje.

— No, moja matko kochana, widzę, że się z wami nie dogadam... Robotnicy stoją z założonemi rękami i czas tracą... Wyczerpała się moja cierpliwość... Teraz już mówię nie żartem: ruszajcie z drogi, a nie — to, zawołam strażników!.. Co! Jeszcze nie?.. Z drogi mówię!..

— Kiedy tu drogi nijakiej niema — toć ja sama chodzę miedzą przez Wojtkową niwę...

— A to utrapienie z takim rozumem! Djabeł swoje, baba swoje!.. No, po raz ostatni: Wstaniecie sami, czy nie?

— Nie, nie wstanę, choćby tu przyszedł największy naczelnik, choćby tu przyjechał najstarszy *jednerot* na koniu, bo to moja ziemia, to mój sad, moja chałupa.

— Cha, to was podniosą... Ale nie moja będzie wina, jeśli przy tem w dodatku parę szturchańców oberwiecie!

I inżynier zły, iż będzie musiał istotnie uciec się do siły brutalnej, a inaczej nie podobnaby było uporać się z staruszką, zakręcił się na pięcie jak żołnierz i, jak żołnierz miarowym krokiem udał się do baraku kolejowego, nieopodal, gdzie przy biurze technicznem miał pod ręką kilku stróżów porządku publicznego, którym też wydał stosowne rozporządzenie.

W godzinę mniej więcej potem drzwi baraku otworzyły się zwolna i do biura inżyniera weszła staruszka nieśmiało. Odziana była białą, długą płachtą, która dokładnie otulała jej głowę wraz z czołem, a od ramion, spływała po wychudłem ciele swobodnie gładkiemi fałdami aż do samej ziemi. Z pod płachty wyzierała tylko przednia część twarzy, powleczonej skórą oliwkową, spaloną na słońcu, wysuszoną, pomarszczoną w krzyżujące się brózdy trosk, niewczasów i starości. Nos miała wydatny, ale cienki i zapadnięty już w nozdrzach, wargi wąskie i zaciśnięte, jak u ludzi silnej woli, oczy duże, podłużne, ale przymrużone już i szare, jakby spłowiałe na wietrze, a lśniące tylko zimnym przeblaskiem światła odbitego. Widać było, iż patrzy z wysiłkiem. Stała przy drzwiach niewzruszenie, zesztywniała w kształtach i w wyrazie, jak biały posąg niedoli, wzywający ludzi do miłosierdzia milczeniem swojem. Nie czuć w niej było życia, aż dopiero po chwili, gdy z głębi duszy odezwała się głosem zgnębionym a jednak wstrząsającym, jak jęk rozbitego dzwonu kościelnego:

— Po - chwa - lo - ny Je - zus Chry - stus!..

— Na wieki wieków... I ja go też chwalę — odpowiedział inżynier skwapliwie.

— I mnie się tak odrazu zdawało... Bo powiadają ludzie, że kolej to żydzi prowadzą; ale wielmożny Pan ma twarz taką gładką, białą i oko takie niebieskie, czyste, jak królewicz... pewnie swój, pomyślałam — katolicka dusza.

— Ależ niezawodnie, matko, jestem Polak i katolik, tak samo, jak i wy, i wierzcie mi, żem strażników posłał z musu. Nie mogłem postąpić sobie inaczej — i teraz wam krzywda: pewnie użyli siły, podnieśli was gwałtem... Bo to widzicie, takie jest prawo a z prawem żartów niema!

— A mnie co tam prawo, a mnie co tam gwałt! Śmierć od Boga mi nie straszna, to jakże zaś miałabym się bać strażników?...

Ale bez urazy wielmożnego pana naczelnika, przyniosłam pół kopy jąj, osełkę masła i serek owarzany, tłusty... Nie wiele tego jest, bo i w domu chudo...

— A widzicie?.. Jak kolej pójdzie, to wam wszystkim przyniesie dostatek.

— A mnie co ona przynieść może!.. Przyjdzie, gwiźnie i pójdzie — tyle uciechy będę z niej miała...

Swiętopełk Czech.

Kłopoty młodego lekarza.

(Dokończenie).

Gdy sanki wjechały wreszcie na podwórze, Wojtek wyciągnął rękę, mówiąc:

— Hań na ganku... stoi.

Dr. Horliwy spojrzał we wskazanym kierunku i zobaczył wysokiego, chudego człowieka, niecierpliwie wywijającego rękami. Kwadratowego niemal kształtu czaszka, okryta siwemi, krótko ostrzyżonemi włosami; głęboko zapadłe, gorączkowo świecące oczy; drgające usta i brwi składały całość, odpowiadającą do pewnego stopnia pojęciu, które młody doktor wytworzył był sobie o pierwszym swym chorym. Beszyński pan zdaleka już witał Wojtka gradem najwyborniejszych wymyślań, a gdy podróżni stanęli przed gankiem, lewa jego ręka wyciągnęła się wnet w kierunku ognistych włosów woźnicy, podczas gdy prawą ścisnął tak silnie dłoń doktora, że ten o mało nie krzyknął z bólu. Jednocześnie z ust jego wylał się podwójny potok wymyślań i powitań: dziękował doktorowi, że ów raczył sam się do niego fatygować, ale jeszcze głośniej wołał, wskazując na błoto, okrywające sanki, że oszaleje z pewnością lada chwila, jeżeli Bóg nie wybawi go od takiego sługi.

Horliwy, słuchając tych słów bez związku, patrząc na kurczowe drgania wychudłej twarzy Trocińskiego, nabrał niemal pewności, że pacjent jego należy do najbardziej typowych szaleńców. To też idąc za nim w głąb domu, szepnął furmanowi, by pamiętał o danej obietnicy, — na co Wojtek kiwnął głową, wykrzywiając się komicznie.

Pokój, do którego wszedł Horliwy, pozostawał w zgodzie z dziwacznem usposobieniem gospodarza domu. Na nagich ścianach wisiały —

— Tak dziś mówicie; ale jak się doczekacie...

— Kiedy ja już tylko śmierci czekam... Ale bez urazy Wielmożnego Pana czy mogę złożyć te jaja, i to masło i ten serek?.. Przecie Wielmożny Pan nie pogardzi...

— I owszem, chętnie wezmę, przyda się, przyda... A ile też za to sobie liczycie?

— Ja tam, Wielmożny Panie, pieniędzy nie jestem chciwa... Mam, Bogu Najwyższemu niech będą dzięki, gdzie spać, bo chata jest moja, i co jeść, bo dzieci są już postanowione i dołogu mi nie skąpią, choć się na nie z ziemi odpisałam i mogłyby mi jak to bywa u innych, wcale jeść nie dawać... Ale o tę chatę mi chodzi i o ten sadek... Wielmożny Panie Naczelniku! Ulituj się mnie biednej starej i puść *leniję* mimo... albo krszyneczkę na prawo przez niwę Gąsiorową, albo krszyneczkę na lewo przez łąkę Gwarową. A im co to szkodzi? Obaj są rodem z innej wsi i obaj są jednakowo chytrzy na pieniądze. Ale ja w tej chałupinie się urodziłam i za granicę nie pójdę, nijak nie pójdę... Wielmożny Panie Naczelniku, będziesz miał zasługę przed Bogiem, żeś starej kobiecie w ostatniej godzinie życia spokoju nie zamącił. Bo i cóżem ja ci za krzywdę wyrządziła, że mnie gnębisz srodze, albo i co ta drzewina w sadzie jest ci winna, że ją każesz wycinać bezlitośnie?

— Bredzicie wciąż jedno do koła i czas mi tylko zabieracie.

— Panie, pozwól mi się wywnętrzyć! Urzewniołam sobie przed ludźmi, ale to mi pomogło... Może gdy duszę otworzę przed tobą, doznam łaski...

— Niema łaski wobec prawa.

— Czy i na drzewinę jest takie samo prawo, jak na ludzi?

— Moja matko, wszystko dobrze — ale już tych łez waszych nad drzewami nie rozumiem zgoła. Kolej zapłaci wam za nie, jak za cynamon, a to stare drapaki nic nie warte!.. Dziczki szkaradne — pewnie nawet nigdy nie rodziły... W sam raz na ogień!.. Będziecie mieli przyczem zimą się ogrzać... (C. d. n.)

Antoni Sygietyński.

Powstanie Chochołowskie r. 46.

Pamiętniki Jana Kantego Andrusikiewicza

16) wydał

Dr. Stanisław Eljasz-Radzikowski.

Trzy korespondencye Jana Kantego Andrusikiewicza, pisane w Krościenku — już po powrocie z więzienia na Grajgórze.

I. Szanowny Komitecie Narodowy Sądecki!

Wiadomo powszechnie, że usiłowania w r. 1846. odbudowania naszej całej Polski — pozbawiły ludzi — życia, majątku. — A ileż to nie cierpiało po więzieniach! – Los taki spotkał także pracowitych Rolników, ludzi poczciwych, prawych. Ludem tym są górale z wsi: Chochołowa, Witowa, Dzianisza, Kościelisk, i Cichego, niegdyś do starostwa Nowotarskiego, dzisiaj do państwa Czarnodunajeckiego

---

niby oazy na pustyni — kalendarz, wykazy stempli wekslowych i para staroświeckich pistoletów. Na stole, na krzesłach i na olbrzymiem łóżku, z rozsuniętemi firankami, leżały paczki pożółkłych, nadgryzionych przez myszy papierów. Na podłodze rozpościerała się ogromna mapa, z powtykanemi w nią tam i ówdzie śpilkami o różnokolorowych chorągiewkach. Zaraz od progu Trociński pociągnął doktora ku tej karcie i wskazując na nią wyschłym palcem, zasyczał z dzikim śmiechem:

— Widzisz pan tę oto wierzbę nad strumieniem, a przy niej wetkniętą śpilkę? W tem miejscu stoję już od dziesięciu lat, pełnych oczekiwań, wzruszeń, rozjazdów we wszystkie strony świata, wydatków, które mię doprowadziły do ruiny niemal. A jednak nie ustępuję i stoję tam ciągle, jak zaklęty u tej wierzby nad strumieniem gdzie się znajduje śpilka. Nie mogę się poruszyć z miejsca, dzięki niegodziwemu adwokatowi, oby go jasny piorun spalił! A z drugiej strony wyszczerzają ku mnie zęby ci oszuści, zbójcy, drapieżnicy, fałszywi świadkowie, i zacierają ręce z zadowolenia... I gdzież tu sprawiedliwość, — pytam się? O gdyby ten niegodziwiec, ten oszust wpadł kiedy w moje ręce!...

Tu zazgrzytał przeraźliwie zębami. Doktor tymczasem potrafił zawładnąć jego prawą ręką i patrząc na zegarek, rachował uderzenia pulsu. Lecz szaleniec, zauważywszy tę jego czynność, wyrwał śpiesznie rękę i wlepiając weń zdumione oczy zawołał:

— Co pan robisz? Co to ma znaczyć?

— Jesteś pan chory, panie Trociński — tłumaczył ze spokojem doktor — bardzo chory!...

— Chory? z przerażeniem powtórzył beszyński pan. — Chory? Z czego to pan wnosisz?... A wreszcie nicby w tem nie było dziwnego. Djabeł by chyba nie zachorował od tych wszystkich trosk i niepokojów. Przeklęci ci ludzie nie dają mi spokoju ani dniem, ani nocą, susząc sobie wciąż mózg nad tem, by mię pozbawić reszty

parafji Chochołowskiej należących, którzy wskutek rozkazu władz rewolucyjnych w dniach 21-go 22-go i 23-go lutego 1846. r. koszary straży finansowej, rozbroili, z cła galicyjsko-polskiego pieniądze zabrali, austrjackie orły porąbali i napad straży finansowej, znacznym oddziałem chłopów uwiedzionych wsparty, — szczęśliwie odparli.—Nie było to wprawdzie zupełnie szczęśliwe odparcie, bo prócz kilku rannych, poległo od bagnetów dwóch ludzi, mianowicie Jan Wróbel, parobek z Chochołowa i Maciej Jasionek, gospodarz ze wsi Witowa, ojciec dwojga małych dzieci, które w r. 1847 także i matkę utraciły! —

Po nieszczęśliwym upadku naszej świętej sprawy, obchodzono się najokrutniej w miejscu z tymi ludźmi! Użyto do tego celu nawet powagi duchownej, która niestety! uwiedziona jakimiś osobistymi widokami, lżyła najobelżywszymi wyrazy tak poczciwy, dobroduszny, prawy lud — za to, że chciał pomagać dźwigać naszą Matkę, — kochaną Ojczyznę. Niedosyć, że w kościele z ambony — kalały się usta kapłana wyrazami niegodnymi jego charakteru, ale prowadzono ich do wsi węgierskiej pogranicznej (Suchej Góry) z pogardą i upokorzeniem jak największych złoczyńców, gdzie wobec ludu węgierskiego, dlatego tam zgromadzonego, kapłan w ubiorze uroczystym — hańbił ich. [4]) —

Lecz — gdyby to się tylko na tem skończyło było, co ci czcigodni ludzie w nagrodę poświęcenia swego cierpieć musieli! Ale inaczej było! Gdy jedni uwięzieni bicie, zimno, głód, nędzę zupełną — przeszło dwa lata po więzieniach w Nowymtargu, Sączu, Lwowie i Piorunowie (Spielbergu) z męskością znosili, modląc się jeszcze za swych błądzących braci, — by im Bóg pozwolił opamiętać się i błąd popełniony naprawić, drudzy pozostali w domu, — mając nad głowami szubienice, walcząc z nieurodzajnymi latami, które i w czasach najurodzajniejszych nigdy dostatecznie chleba do pożywienia nie dostarczały, — z przyczyny nieurodzajnej ziemi, a w tych 846., 847. i 848. coraz mniej urodzajnych latach, musieli znosić nietylko wszelkie dojmujące upokorzenie, ale dręczeni, nie wspierani (zapewne z bojaźni, aby nie być przez władze ściganym), w części — ci szanowni ludzie z głodu i niedostatku pomarli. — Brakujące do kasy cłowej pieniądze, których w połowie większej — więcej nad brakować mogące — musieli czynniejsi w stosunku płacić, jakoteż na orły i słup. — Nie rachując w to podwód, (forszpanów) bezpłatnych, które każdy — pod komisjonujących urzędników itp. dawać musiał. — Nędzę tego zawsze czcigodnego ludu widziałem naocznie dnia 9-go i 10-go maja b. r. Ale nie mogąc sam nic więcej nad to — co czynię — uczynić, proszę Szanownego Komitetu Narodowego przynajmniej o te pieniądze dla nich, które oni podług załączonego tu wykazu (sumiennie z dowodów spisanego) dać musieli, — u Szanownych obywateli sądeckich swym wpływem — jak można najprędzej — wyjednać i jednego z grona szanownych obywateli z temi pieniądzmi do Chochołowa — w celu wypłacenia im — podług wykazu załączonego — wysłać. —

Sądzę — być moim obowiązkiem — dodać jeszcze, że Wojciech Kojs do 24-go lutego 1846 r. czynny w powstaniu przysiężny chochołowski, który w Piorunowie na lat 3 zasądzony siedział, a który w czasie uwięzienia bydło utracił i drzewo na nowy dom przygotowane — sprzedane mu zostało na pokrycie kosztów z powstania wynikłych, dzisiaj chory leży i istotnie

[4]) Nazwiska tych wielebnych Ojców — Jezuitów — uwiecznił Jan Badeni w życiorysie „Księdza Karola Antoniewicza V. Misje po rzezi" — drukowanym w „Przeglądzie powszechnym" tom XLI. Nr, 122. rok II., zeszyt 2. za luty 1894 str. 184 i 185. Oto są: „Pater Lipiński, Pater Toek, Pater Perkowski i Pater Szczepan Załęski". —

---

majątku, szczęścia, honoru... Trawią mię, niby jelenia w kniei, a głównym dojeżdżaczem jest ten łotr burmistrz, o którego nikczemną duszę czarci będą się kiedyś bili na tamtym świecie.

Słowa powyższe stały się błyskawicą objawienia dla młodego doktora: zrozumiał, że pacjent jego pomieszany jest na punkcie prześladowań, uważa się za nieszczęśliwą ofiarę złości ludzkiej. To też widząc, że wściekłość chorego staje się coraz gwałtowniejszą, wyciągnął z pod płaszcza przywieziony kaftan i zwracając się z uprzejmym uśmiechem do Trocińskiego, rzekł miodowym głosem:

— Jesteś pan rzeczywiście cierpiący... A jaki tu okrutny przeciąg! Możebyś pan zechciał ubrać się w ten oto...

Nie dokończył, bo Trociński, zobaczywszy warjacki kaftan, wpadł w nieopisaną wściekłość.

— Jakto? — wołał z pianą na ustach. Ośmielasz się pan robić ze mnie warjata we własnym moim domu?... Tego już zanadto! Oto są drzwi, mój panie! Albo nie, zaczekaj chwilkę, a zrobię ci taki przeciąg, że uniesie cię on wraz z przeklętym kaftanem!

Mówiąc to, rzucił się do zardzewiałych pistoletów, wiszących na ścianie.

Doktor miał ochotę wyrzec się jedynego swego chorego, gdy nagle drzwi otwarły się z trzaskiem i na progu stanął siłacz Wojtek z odwiniętemi rękawami. W jednej chwili doktor znalazł się za olbrzymią jego figurą i z bezpiecznej tej kryjówki starał się go zagrzać do walki.

Wkrótce potem oba pistolety — co prawda nie nabite — leżały już na podłodze, a obok nich Trociński, broniący się wściekle od dobroczynnego kaftana, który doktor, z pomocą potężnego sojusznika, usiłował mu gwałtem włożyć. Udało mu się to wreszcie, a zapał doktorski tak zagłuszył w Horliwym wszelkie uczucie litości, że nie wzdragał się własną chustką od nosa zawiązać silnie usta chorego, który nie przestawał wołać: — „Zbóje! Złodzieje!" Poczem, zadowolony ze swego

najprędszego wsparcia — celem wydźwignienia go z tej nędzy — potrzebuje. —

Polecając troskliwości Szanownego Komitetu Narodowego Sądeckiego powyższą prośbę — i wiedzą wykazanych, do szlachetnych uczuć się odwołujących, — kreślę się każdej dobrej sprawy sługą. —

Krościenko, 30 maja 1848. Jan Kanty Andrusikiewicz.

»Na orły: 97 fl. 40 kr.; na orły 18 fl. — kr.; na słup 3 fl. — kr. Razem 118 fl. 40 kr. C. M.

»Karabin: 1 fl. 43 kr.; Kuras 13 fl. 24 kr. i . . . . 36 kr. Razem 15 fl. 03 kr. „ „

Suma 133 fl. 43 kr. C. M.

Powyższy wykaz jest zrobiony przez podpisanego na miejscu, dnia 10. maja 1848 r. z kwitów oryginalnych, jako: na brakujące pieniądze z dnia: 9. sierpnia 1846 r. z podpisem poborcy cłowego. Na orły z dn. 28. marca 1846, a na słup wskutek rozkazu administracji sądeckiej z 19. września 1846 Nr. 7962; poborcy pokwitowanie z 18. października 1847 m. p.

II.) Dobrodzieju obywatelu! *)

Proszę załączoną prośbę do Komitetu podać, a jaki skutek weźmie — odpisać. — Byłbym się udał z nią do Lwowa, ale mi wprzód tutaj — kazano. — Jeżeli by tu nie można, to udam się z nią do Lwowa. Czy będzie co z tego — względem umieszczenia synów moich w Tarnowie? — Recepis na odebranie tej prośby — podpisać proszę. Ja już zdrowszy, jednak nie zupełnie, a dotąd bez obowiązku. — Bywaj zdrów Obywatelu; z szacunkiem dla Ciebie — Twój kolega

Andrusikiewicz.

---

*) do Wiktora Krobickiego z Harklowej. —

III.) Szanowny Komitecie Narodowy Sądecki! Przesłaną kwotę 140 Reń. C. M. dla Chochołowian odebrałem od Szan. Obyw. Wiktora Krobickiego i takową dnia 9. b. m. wykazanym wręczyłem. — Łączę tu podziękowanie, wraz z wyrażeniem dowodnem – ile każdy odebrał. — Szanowni dawcy wyryli tym datkiem wdzięczność w sercach górali. Trudne do opisania jest tam — ich teraźniejsze życie! Nie ma tam śladu zaszłej zmiany rządu, a co i na sobie doświadczyłem. Władze krajowe rozdawały w końcu maja b. r. pieniężne zasiłki okolicznym wsiom; ale Chochołów, Dzianisz, Witów nie doznał tego względu, chociaż w tych wsiach w r. 1846 w powstaniu najczynniejszych — nie wszyscy czynni byli, a jeżeli nie większą, to nie mniejszą nędzę cierpią.— Ci ludzie rznęli na wiosnę słomę w sieczkę, suszyli, mełli i z takowej gotowali tak zwaną kulasę, której i posolić nie było za co! — Doczekawszy się trawy, gotują ją i jedzą z niej tak u nich zwany „warmus“. — W dzisiejszych wolniejszych dniach otrzymali niektórzy poczciwi wsparcie w zbożu od Szanownych Obywateli jako p. Tetmajera z Łopuszny, p. Krobickiego z Harklowy i pani Drohojewskiej z Czorsztyna. Pomiędzy obdarzonymi wsparciem był także były przysiężny Chochołowski Wojciech Kojs, za którym pod dniem 30/V. br. też prosiłem a który dzisiaj lepszem zdrowiem się cieszy. —

Powróciwszy z Grajgóry do kraju, starał się Jan Kanty Andrusikiewicz o przywrócenie go na opuszczoną posadę organisty i nauczyciela w Chochołowie, czego mu jednak konsystorz tarnowski odmówił. Za pośrednictwem przyjaciela swego p. Antoniego Skąpskiego otrzymał posadę we wsi Kamienicy (przy Limanowej) u zacnego obywatela i patrjoty Maksymiljana Marszałkowicza. Niedługo jednak pożył i po dwu latach pracy w papierni tamtejszej i hucie żela-

---

dzieła, kazał zanieść na łóżko nieszczęśliwą ofiarę, miotającą się wściekle i straszliwie wytrzeszczającą oczy.

Zaledwie Horliwy zdążył spuścić firanki koło łóżka, gdy do pokoju wsunęła się wysmukła postać młodego dziewczęcia w żałobnej sukni. Spostrzegłszy doktora, otarła śpiesznie wilgotne jeszcze od łez oczy i oglądając się niespokojnie dookoła, spytała srebrnym głosikiem:

— Co się tu stało? Gdzie się znajduje mój ojciec?

Doktor zbliżył się ku niej z dumnem poczuciem, spełnionego uczciwie, a nawet z narażeniem własnego życia, obowiązku.

— W pierwszym rzędzie — zaczął poważnie — pozwól mi pani zadać sobie kilka pytań co do przeszłości i sposobu życia nieszczęśliwego twego ojca.

— Sądzę, że możesz się pan obejść bez tych szczegółów — odparła sucho młoda dziewczyna, rzucając mu wcale niezachęcające spojrzenie.

Doktor doznał niemiłego rozczarowania. Od pierwszej chwili czuł się oczarowany łagodnym jej wdziękiem, sądził że z szafirowych źrenic dziewczęcia przegląda anielska dusza, a tymczasem zimne jej serce nie odczuwało cierpień ojca.

— Nie przypuszczałem wcale — rzekł z gorzką wymówką w głosie, aby los ojca tak mało panią obchodził. A może nie masz pani do mnie zaufania?...

— Widzę pana po raz pierwszy w życiu, poprzednik zaś jego nie zbyt szlachetnie z nami postępował: przewlekał tę nieszczęsną sprawę tyle lat, przysyłał ojcu sążniste rachunki i nie doprowadził w końcu do żadnego skutku.

Odosobniony przykład nie daje jeszcze prawa do wydawania wyroku potępiającego na wszystkich doktorów... Powołanie nasze należy do najszlachetniejszych i najwznioślejszych, gdyż celem jego jest uszczęśliwienie ludzkości... W danym jednak wypadku widzę jeden tylko środek: oddaj pani ojca do domu obłąkanych...

Młoda dziewczyna cofnęła się o parę kroków

znej zachorzał ciężko na tyfus i dnia 9. stycznia 1850 życia dokonał; pochowany na cmentarzu w Kamienicy, na grobie ani krzyża, ani znaku żadnego. —

Ksiądz Józef Leopold Kmietowicz powróciwszy z Kufsteinu do kraju, leczył się żentycą we wsi Obidzy, był czas jakiś wikarjuszem w Muszynie, a następnie w Makowie oddany pod dozór polakożerczego proboszcza Heera, słabował zawsze na piersi. Urodzony 14. listopada 1819 w Starym Sączu, zmarł tamże dnia 11. października 1859. r. — (Dok. nast.)

Z TEKI POŚMIERTNEJ.

Śmierć.

Pośród mglistych przestworzy dziwna postać kroczy,
Wyschłą głowę ma trupa i zapadłe oczy,
Ohydny wyraz skąpca, co nienasycony,
Drżącymi rąk palcami zgartuje miljony.

Nad pałace i chaty płynie, a gdzie zboczy,
Wychudłe ręce we krwi swej ofiary broczy, —
Kędy stąpi, konania słychać jęk stłumiony...
Ona — głucha na jęki, bieży po miljony.

Przed nią — jedni w rozpacznym strachu upadają,
Czy od nich na swą pastwę ofiar nie zażąda,
Drudzy z uśmiechem ku niej ręce wyciągają;

Ona — głucha na rozpacz i prośby — spogląda
Trupim wzrokiem dokoła i skinieniem ręki
Jednym niesie katusze, a drugim kres męki,

Gustaw Grochowski.

19)

O wpływie trunków alkoholicznych

na organizm zwierzęcy i ludzki.

Z drugiej strony trunki wyskokowe nawet w wypadkach umiarkowanego ich używania prowadzą dość często do monomanji wielkości, mającej już pozór czystej warjacji. Parę przykładów mogę tu przytoczyć, wybierając je z całej massy znanych mi osobiście.

a) Kolega nasz z Dorpatu S. słuchacz ekonomji politycznej, czyli „Kameralista" według terminologji miejscowej, człowiek bardzo zdolny, rokujący wielkie nadzieje, żył bardzo skromnie, jadał obiady za 5 zł. polskich na miesiąc od osoby, wieczorami i rankami pijał tylko mleko z chle-

---

Oczy jej cisnęły płomienie, gorący rumieniec oblał bladą twarz. Jakże pięknie jej było z tym wyrazem szlachetnego oburzenia!

— Panie! — zawołała podniesionym głosem — nie pozwolę nikomu obrażać w swojej obecności nieszczęśliwego ojca!

— Ależ...

— Nie spodziewałam się tego po panu! Jeżeli sądzisz, że ten proces jest nie do wygrania, toś powinien raczej, bez bolesnych żartów, starać się przekonać o tem mego ojca i skłonić go do zaniechania przeklętej sprawy. Co się tyczy mnie samej, to od bardzo już dawna nie śmiem z nim mówić otwarcie. Dla tego kawałka ziemi, o który procesuje się z miastem, ojciec mój stracił cały prawie majątek i dziesięć lat życia! Dni upływały mu bez pociechy i radości, w ciągłym niepokoju i rozdrażnieniu, aż stał się w końcu ciężarem sobie i drugim, — pozrywał wszelkie stosunki przyjaźni i znajomości, pędził życie smutniejsze, niż więzień za kratą, wśród tych nieszczęsnych szpargałów, nad tą kartą przeklętą! Przez cały ten czas ani razu nie spojrzał na mnie z miłością, ani razu nie popieścił, starał się owszem dręczyć i dokuczać... Sądzę nawet, że wszystko to stało się powodem przedwczesnej śmierci mojej matki!...

Płacz przerwał jej mowę.

Młody doktor słuchał z coraz wzrastającem wzruszeniem. Przypomniał sobie, co słyszał dawniej o procesie beszyńskiego pana z miastem, przypomniał doktora Załogę i nagle — zrozumiał wszystko. Pierwszy jego chory znikł, jak bańka mydlana...

— Pani — rzekł drżącym głosem, z twarzą w płomieniach — pani, stała się okropna pomyłka: ja nie jestem doktorem prawa!

— Jakto? nie jesteś pan adwokatem... Dr. Załogą?

— Nie, — jestem doktorem medycyny i nazywam się Stanisław Horliwy. Woźnica powiedział jeno, że przyjechał do nowego doktora, a ja również od niedawna mieszkam w tych stronach...

Po tych słowach doktor zbliżył się do swego

bem razowym, czyli „Brykałem', przytem wszakże idąc za ówczesnym poglądem hygienicznym, ogólnie przyjętym, wzmacniał odżywianie skąpe kieliszkiem wódki przy obiedzie i wieczerzy mlecznej. Dla braku funduszów nie brał nigdy udziału w pijatykach zbiorowych, dosyć częstych pod ową porę, więc należał do osób pijących regularnie i umiarkowanie. S. pracował nad przedmiotami swoich studjów z wielkiem zamiłowaniem i gorliwością niezwykłą, polubił zaś przeważnie statystykę i historję nowożytną, a w szczególności historję polską, tę ostatnią studjował w sposób oryginalny, wcielając się myślą w pojedynczych bohaterów danej epoki, przyczem tak bywał głęboko przejęty swą rolą, że przybierał postawę osobistości przez siebie przedstawianych i przemawiał językiem, zastosowanym do epoki danego bohatera. Pamięć miał S. olbrzymią, cyfry statystyczne najbardziej szczegółowe cytował z pamięci, daty historyczne: lata, miesiące, dnie wypadków, mieściły się u niego w głowie na zawołanie. Gdy nadszedł czas zdawania egzaminów ostatecznych na uniwersytecie, zabrał się do pracy ze zdwojoną gorliwością, siadywał po całych nocach nad książkami, krzepiąc wątłe siły organizmu, w braku dostatecznego pożywienia, gorzałką, a to w tem przekonaniu „że kieliszek wódki zastąpić może kawał mięsa". Po jednej takiej nocy, spędzonej bezsennie, wyszedł S. na ulicę, wsiadł do dorożki i kazał wieść siebie do „gmachu obrad sejmowych". Dorożkarz Czuchna zrozumiał, że ma go zawieść do ratusza miejskiego, więc stanął tam u drzwi podjazdowych; rozgniewany S. zaczął go wymyślać, grożąc pobiciem; kłótnię z tej racji powstałą usłyszeli bedele, czyli ówczesna policja uniwersytecka, mająca główną stację obserwacyjną w pobliżu ratusza. Oberbedel Schmidt i bedel Wishor pośpieszyli na odsiecz dorożkarzowi i sądząc, że mają do czynienia z pijanym, co w owej epoce było rzeczą najzwyklejszą, zaklęli S. wyrazami sakramentalnymi przed którymi korzyć się musiał najbardziej nawet krnąbrny „bursz". Rzekli tedy „W imieniu Rektora i prawa masz się Pan stawić natychmiast przed oblicze Jego Magnificencji". Zaklęcie to jednak odniosło wcale nieoczekiwany skutek, S. bowiem rzucił się na bedeli z całą wściekłością furjata, krzycząc: „Wy śmiecie mnie, prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej, cytować przed Rektora, ja was wszystkich wraz z Rektorem powiesić każę". Był to pierwszy objaw manji, prześladującej odtąd stale chorego na umyśle S., który się rzucał na każdego, nie uznającego go za Prezydenta. W chwili, o której mowa, na szczęście dla bedeli i dla chorego znaleźli się w pobliżu koledzy i rodacy S.; przy ich pomocy zdołano przewieźć obłąkanego do kliniki uniwersyteckiej, ogolono mu głowę, okładano lodem, przywdziawszy wpierw koszulę warjatów, z racji, że bił wszystkich i łamał meble. Dwie pierwsze doby chory był ciągle w stanie silnego podniecenia. Będąc nieobecny w Dorpacie w czasie pierwszego perjodu choroby S., odwiedziłem go dopiero w kilka dni po zasłabnięciu. Gdym zbliżył się do niego, poznał mnie i przywitał wyrazami: „Ecce homo", wskazując na swą głowę ogoloną i ręce związane, po chwili dał znak, ażebym podszedł do niego i szeptem wyrzekł: „mianuję cię ministrem mego dworu, każ mi przynieść kieliszek wódki". Stan chorego po paru tygodniach polepszył się o tyle, że zdjęto z niego więzy i postanowiono odwieźć do domu rodziców; podjęli się tej ciężkiej misji dwaj koledzy nasi Szpakowski i Iwaszkiewicz. Poświęcenie ich miało bardzo dobre skutki, traktowali oni chorego po koleżeńsku, nie odmawiali mu prawa używania trunków alkoholicznych, co dotąd było mu surowo wzbronione. „Wraz ze zmienionym trybem postępowania z chorym i zmianą w djecie jego, ustąpiły ataki silnego podniecenia, sen wrócił.

---

pacjenta, który przez cały ten czas zachowywał się nader spokojnie, rozwiązał chustkę, która zasłaniała mu usta i zdjął nieszczęsny kaftan...

— Słyszałeś pan zapewne wszystko — rzekł z rozpaczą. — Wbrew mojej woli i chęci stała się okropna pomyłka...

— Piękna mi pomyłka! Dziękuję za taką pomyłkę! —mruczał Trociński, wyskakując z łóżka. Poczem zaczął szybko się przechadzać po pokoju z groźnie ściągniętemi brwiami, pocierając od czasu do czasu omdlałe ręce jedną o drugą. Nagle zatrzymał się przed doktorem, spojrzał mu w oczy i parsknął takim szczerym, głośnym śmiechem, że i Horliwy i córka poszli za jego przykładem...

Doktor został na wieczerzy w Beszynie, a gdy w przyjemnie ogrzanym pokoju jadalnym zadzwoniły kieliszki, Trociński zawołał wesoło:

— Za twoje zdrowie, doktorze! Złożyłeś nam dzisiaj dotykalny dowód niepospolitej swej wiedzy. Jaka szkoda, że nie posłałem o kilka lat wcześniej po ciebie i po twój cudowny kaftan... nie byłbym zmarnował na przeklęty proces majątku i życia! Ale od dziś daję pieniactwu za wygraną!

... Późno wieczorem sanki leciały z Beszyna do miasta. Wojtek jechał ze spuszczoną w głębokiej zadumie głową, napróżno siląc się na zrozumienie dziwnych wypadków tego dnia. Dr. Horliwy spoglądał rozmarzonym wzrokiem na iskrzący się śnieg, a gdy powieki mu się zamknęły, wszechpotężna wyobraźnia ukazała cudny sen. Widział wnętrze wspaniałej świątyni, od świateł płonącej, — i siebie samego klęczącego przed głównym ołtarzem obok ślicznej dziewczyny o słodkiej i białej, niby lilja, twarzy, o błękitnych, jak niebo, oczach. Wszystkie patrzące na nich kumoszki szeptały sobie do ucha:

— Co za śliczna para! I nietylko śliczna, lecz i szczęśliwa, bo młody doktor ma olbrzymią praktykę!

Sen doktora spełnił się podobno od pierwszego do ostatniego słowa. Lecz to nie należy już do opowiadania o pierwszym jego chorym.

Tłumacz. z upoważnienia Autora

M. Wysłouchowa.

Z innej znowu strony pobyt na wsi, pod opieką ojca, zaczął działać pomyślnie, tak, że była nadzieja na powrót do zdrowia chorego, tylko że manja wielkości nie opuszczała go wcale, przybierał zwykle pozy i wygłaszał zdania zgodne z powagą prezydenta za którego się miał stale. Zaznajomiwszy się następnie z zawiadowcą na pobliskiej stacji pocztowej, bywał u niego gościem częstym. Razu pewnego zajechał na stację jakiś pasażer w chwili gdy S. był tam obecny, rozpoczął z nim rozmowę o kwestjach naukowych, o studjach na uniwersytetach, etc., w toku prowadzonej żywo dyskusji, zapytał przejezdny, dlaczego się nie stara młody człowiek o jakąś posadę, przy jego nauce i wykształceniu bowiem łatwo byłoby znaleźć odpowiednie zajęcie. Ta uwaga nieznajomego rozgniewała mocno S. „Co zawołał, ja prezydent Rzeczypospolitej polskiej miałbym się starać o posadę marną“ i w ślad zatem zaczął wymyślać i łajać przyjezdnego, poczem się oddalił. Pasażer a był nim pułkownik żandarmski, podróżujący incognito, rozpytał się u zawiadowcy stacji o szczegółach, dotyczących chorego i w parę tygodni po tem zdarzeniu przyjechało dwóch żandarmów, by według rozkazu wyższej władzy zawieźć S. do domu warjatów w Warszawie. Ulokowano go tam, jako niebezpiecznego człowieka, bo pretendenta na krzesło prezydjalne w Rzeczypospolitej polskiej, tam też i życie zakończył po kilku latach więzienia.

6) Inny wypadek manji wielkości alkoholicznej miał miejsce z obywatelem byłego województwa mińskiego, Kostrowickim. Ten mąż będąc jeszcze w sile wieku, po nadmiernem użyciu trunków, zachorował umysłowo i wyobraził sobie, że jest zbawicielem. Za cały strój służyła mu odtąd koszula długa, zgrzebna i głowę ozdabiał koroną z bodjaków; chodził boso. Osadzono go w domu warjatów w Mińsku, czyli jak mówiono tam wówczas „oddano go do Bonifratrów“. Z zakładu dla obłąkanych umiał się zawsze wydostać. Miał pamięć bardzo dobrą, był dowcipny i jak to mówią „cięty“, umiał wiele satyr i epigramatów Legatowicza na pamięć, sam nawet na ich modłę tworzył nowe, tak np. dla biskupa, nominata w Mińsku, Pawła Kawy, napisał za jego życia jeszcze epitafium następujące:

„Tu leży ciało, co niegdyś siedziało“. — Kostrowicki miewał kazania przed robotnikami w polu, nazywał siebie „Chrystusem polskim“. Wtedy jeszcze na Litwie mówiono wszędzie po polsku, Żydzi sami nie stanowili wyjątku takiego, jak dzisiaj.

(C. d. n.) *Dr. Benedykt Dybowski.*

Z ruchu wydawniczego.

Solski w roli starego wiarusa w „Warszawiance“ St. Wyspiańskiego. Rysował St. Wyspiański. Nakład księgarni H. Altenberga.

Pamiętamy go wszyscy z ostatnich występów Modrzejewskiej — pamiętamy! Nie zjawia się nagle. Owszem, oczekują go. Niepokój Chłopickiego, co skazał na śmierć cały pułk, a teraz wieści wygląda, — przeczucia trwożne dziewicy, ubranej biało, — w barwę śmierci — udzielają się widzom. Czekają... Oto już słychać stąpania — ciężkie. Tak się zbliża nieszczęście. Wchodzi, a z nim wkracza do pozłocistego salonu groza i śmierć. Nie mówi nic. Ale mówią jego ruchy — ruchy ożywionego potężną wolą automatu, — mówi krew na ubraniu... Podnosi rękę i salutuje przed generałem sprawnie. Ból zmógł w sobie, nie poznać, że rany go pieką, a jednak każdy czuje, że to jeden z tych żołnierzy 31 roku, co nawet „karłom powstania nadawali kształty olbrzymów“. Podaje raport. Nikt z otoczenia, prócz Chłopickiego, nie zna jego treści. Twarz wiarusa wola zamraża tak, że marmurowe oblicze Napoleona, zdobiące salon, wydaje się przy niej miękkiem. Nie wyczytać z rysów zastygłych, że papier donosi o klęsce zupełnej, że z całego pułku pozostał on jeden tylko, aby dał świadectwo śmierci. — Nikt nie zna tych wieści hjobowych, ale od postaci żołnierza wieje taki smutek i groza, że słowa rycerskiej pieśni rwą się na ustach dziewicom, jako „kwiatów złocistych wianek rozplątany“, a serce tej białej, tej dumnej a miłującej — „ciska się, jako gołąb poraniony“...

Oddał raport, lecz nie odchodzi. Może paść trupem za chwilę, ale zlecenie spełni do końca. Wyciąga znowu żołnierskim ruchem rękę bolesną i podaje generałowi zwitek. To szarfa dziewczyny, której serce miota się, jako gołąb poraniony. Ufarbowała ją krew młodzieńca, krew szlachetna i — święta, bo za wolność wylana. Ten, co ją dał na ofiarę, mówił, idąc w bój beznadziejny: „To rozkosz, że mam umrzeć za co“ — ale miał łzy w oczach — „łez perłowe sznury na mundurze“.

I nie wiem, co droższe, wznioślejsze, co bardziej wzbogaca skarbnicę relikwji ojczystych, czy takie łzy-perły, z nadmiaru uczuć płynące, czy krwi korale czerwone... Misja skończona. Jenerał skinął ręką. Postać żołnierza prostuje się jeszcze sztywniej... Zrobił zwrot w prawo, jak na paradzie i ku drzwiom się skierował. Stąpa, niby kamienny gość w Don Juanie. Znać, że idzie połączyć się z towarzyszami, których ciała krwawe tam, w Olszynce, niepokalane puchy śniegowe ogarniają pieszczotą kojącą — znać, że nie wróci nigdy.

Takim był p. Solski w roli rekonesansa, z pola bitwy pod Olszynką i takim odtworzył go Wyspiański na wyżej wymienionej karcie pocztowej.

M. W.

Z drukarni W. A. Szyjkowskiego Lwów, ul. Kopernika 5.